

Wiktor Barabasz.

W chwili kiedy Krakowskie Tow. muzyczne otwiera podwoje nowej, wspaniałej, naprawdę godnej siebie siedziby wraz z piękną salą koncertową; w chwili, kiedy po kilkudziesięcioletniej tułaczce po wynajmowanych, mniej i więcej celom krzewienia sztuki i wiedzy muzycznej odpowiednich lokalach — dopłynęło co prawda nie do własnego — lecz odpowiedniego sobie pomieszczenia — godzi się przyjrzeć się bliżej temu, który stojąc na czele jednej z dwu najpoważniejszych instytucji muzycznych w kraju, pracuje około dobra i krzewienia w starym grodzie Kraka kultury muzycznej. Osobistość to znana w Krakowie, zżyta z jego stosunkami muzycznymi a jako taka, otoczona też należytem poważaniem i sympatya.

P. Wiktor Barabasz chociaż ujrzał światło dzienne w Bochni (30/8 1855) jest nawskróś Krakowianinem, przywiązany zarówno do jego murów jak i tradycji szczerze i gorąco. Czas „sielski i anielski“ upłynął mu wśród tych świadków najświetniejszej przeszłości naszej drogiej, skolatanej walkami ojczyzny, tu pod kierunkiem wybornych pedagogów, Antoniego Płacheckiego, a następnie i Kazimierza Hofmanna. Tu zapoznawał się zarówno z tajnikami pierwszych niemowlęcych kroków po klawiaturze a następnie z arkanami gry wirtuozowskiej. Sztuka, jej tajniki — konieczność zdobycia techniki — a przede wszystkim chęć ugruntowania wiedzy muzycznej — kazały młodemu adeptowi ciernistej drogi każdego muzyka polskiego — opuścić pielesze domowe i ukochane mury ojczystego grodu i wyjechać nad modre fale Dunaju. Utalentowanym Krakowianinem zajęli się profesorowie Dachs, pianista i bardzo wówczas ceniony pedagog wiedeński — tudzież prof. Kren z którym gruntował Barabasz wiedzę muzyczno-teoretyczną. Cennymi wskazówkami przyczynił się wiele znakomity rodak s. p. Emil Śmietalski. W roku 1876 wraca Barabasz do Krakowa i rozpoczyna pracę muzyczno-pedagogiczną, obejmuje naukę mu-



Wiktor Barabasz.

zyki w żeńskim seminarium nauczycielskim, tudzież kierownictwo chóru akademickiego, którego jest twórcą i założycielem.

Barabasz nie poprzestawał na zajęciu dyrygenta. W licznych wycieczkach chóru występował w charakterze pianisty a wysoka jego muzykalność i bardzo poprawne przygotowanie techniczne, uczyniło go pożądanym zjawiskiem na estradzie

koncertowej. Niestety zrażony żądłami niepowołanej krytyki, szukającej zadośćuczynienia nie ze sztuką wspólnego niemającej animozji, osobistej animozji, zaniechał kariery wirtuoza i oddał się wyłącznie pracy pedagogicznej i dyrekcji chóru w Krakowie — zaś występy wirtuozowskie kontynuował tylko za granicą, grając z wielkim powodzeniem w Warszawie, Wilnie, Petersburgu itp.

W r. 1886 otwarło się nowe pole działalności dla Barabasza. Po ustąpieniu z naczelnego stanowiska w Krakowskim Tow. muzycznym s. p. Stanisława Niedzielskiego, powołał go wydział na dyrektora Tow. muzycznego. Tu młody i czynny kierownik zabrał się gorąco do pracy i w ciągu krótkiego czasu wystawił takie dzieła, jak „Samson“ Händla, „Requiem“ Mozarta, „Walpurg“ Mendelszona, „Chrystusa“ Bacha, „Sonety Krymskie“ Moniuszki, „Świteziankę“ Noskowskiego i wiele, wiele innych dzieł — całą litanie — wysokiej wartości muzycznej i artystycznej. Do dziś jeszcze tkwią w pamięci Wieczory muzyczno-historyczne, urządzenie przezeń jako koncerty Tow. muzycznego z całym olbrzymim szeregiem dzieł z ubiegłych epok twórczości muzycznej, wykonanych z pietyzmem i gorącą starannością.

Kiedy zamknięto stary teatr przy placu Szepeńskim, marzył Barabasz ciągle nad zrekonstruowaniem starej budy — na nowy przybytek, poświęcony muzyce, wiedząc, iż w naszych trudnych stosunkach ani marzyć nie można o sali koncertowej, wybudowanej na własnym gruncie za własne pieniądze. Udawał się do ówczesnego prezydium miasta kilkakrotnie ale bezskutecznie. Lecz wytrwały i cichy pracownik nie ustał w zabiegach, złożyłwszy projekt swój w energiczne ręce dzisiejszego prezesa Tow. muzycznego rektora Krzyskiego, który dołożył energicznych i pełnych ofiarności starań i ostatecznie instytucję, pozostającą pod swym patronatem — odpowiednio ułożył.

P. Barabaszowi życzymy szczerze powodzenia w pracy i zabiegach pod tą nową strzechą.

— ur. —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył: M. S.

Ciąg dalszy.

— Drogo mi pan za to zapłacisz! Proszę o pańskie nazwisko!...

Wszyscy umilkli i spoglądali ciekawie na Amerykanina, który przez chwilę zawahał się z odpowiedzią. Chwilowe uniesienie wprowadziło go w bardzo przykrą sytuację. Zrozumiał, że musi wymienić swe nazwisko, a poczucie honoru i wrodzona prawdomówność nie pozwalały mu przedstawić się pod przybranym pseudonimem. Zarazem jednak czuł dobrze, że całe śledztwo może być stracone, gdyby dalej nie zachował swojego incognito i postanowił raczej skłamać, jak zepsuć całe przedsięwzięcie. Wymienił więc swoje fałszywe nazwisko i dodał, że mieszka w hotelu „pod złotym lwem“, gdzie będzie oczekiwał na świadków przeciwnika.

— Dobrze! — rzekł Cezar, skinąwszy głową — wkrótce posłyszysz pan o mnie!...

I to rzekłszy, nie patrząc więcej w stronę inżyniera, opuścił restaurację z dwoma przyjaciółmi, a Archer tak samo coby prędzej udał się wprost do hotelu, gdzie jak szalony biegał po pokoju i myślał o tem, co przed chwilą usłyszał o Helenie. Nie chciał uwierzyć w winę ukochanej, ale serce ścisnęło mu się na myśl, że przecież te plotki musiały mieć jakąś podstawę, a fakt, że Berman jeszcze nie powrócił, dokuczał mu jeszcze bardziej, bo nie miał się przed kim zwierzyć, nie miał z kim pomówić o tem zajściu. A przy tem wszystkim nie bez racji sądził, że komisarz powinien także wiedzieć już o tych rzekomych zaręczynach Heleny z Cezarem, o tem jakimś tajemniczym uprowadzeniu, czy też ucieczce, na podstawie której obrzucono jego ideał błotem bezwstydných dowcipów.

Po długiej rozłące.

Cierpliwość Amerykanina musiała jednak być wystawioną na długą próbę, bo komisarz Berman późno po południu zjawił się w hotelu, a przytem miał wcale nie wesołą minę. Rzecz prosta, że humor nie poprawił mu się wcale, gdy Archer opowiedział, co go spotkało.

— W tym wypadku postąpiłeś pan nierozwrotnie! Popełniłeś pan nawet głupstwo, mój kochany inżynierze — rzekł komisarz, gdy Amerykanin

skończył swe opowiadanie. — I to zmusi mnie, aby pracować na własną rękę, bo z pańskiej pomocy nie mogę już korzystać! A przytem wystąpienie pana wobec młodego Springera było całkiem bezpodstawne, nieczem nieusprawiedliwione, bo to, co słyszałeś, jest, o ile wiem, istotną prawdą!...

Inżynier jęknął głucho. Temu człowiekowi nie mógł przecież powiedzieć, że kłamie, bo ten człowiek przybył tylko po to, aby prawdę na jaw wydobyć! Komisarz nie mówiłby o tem, jako o rzeczy dokonanej, gdyby nie zbadał wszystkiego dokładnie!

A Berman czasu nie tracił na darmo. Najpierw — tak opowiadał Archerowi — zapoznał się z Franciszkiem Springerem i, zupełnie jak się spodziewał, został odesłany przez niego do adwokata Harrasa, gdyż ten był upoważniony do sprzedaży domu. Komisarz udał się do doktora, a choć rozmawiał z nim krótko, choć wypyttywał się tylko o stosunki miejscowe, odrazu poznał, że ma do czynienia z człowiekiem tak chytrym, przebiegłym a zarazem umiejącym dać sobie radę w najtrudniejszym położeniu, że trzeba było stracić wszelką nadzieję, aby wydobyć od niego zeznania dobrowolne. O rodzinnych stosunkach Springera nie było prawie mowy, lecz doktor Harras sam wspominał, że jego klient dlatego zamierza sprzedać starą siedzibę swych ojców, ponieważ jego syn bierze w najbliższym tygodniu ślub ze swą kuzynką i chciałby ustać sobie gniazdko w jakimś weselszym, jaśniejszym mieszkanku. Po tej konferencji, którą komisarz umiał przedłużyć o tyle, o ile tego potrzebował, udano się celem oglądnięcia domu do Springerów i wtedy dopiero Berman zapoznał się z całą familią.

— Pani domu — opowiadał komisarz — zrobiła na mnie jeszcze gorsze wrażenie, niż sam Springer i ręczę, że, jeśli tylko popełniono tu jaką zbrodnię, to ona musiała brać w niej udział. Córeczka także mi się nie podobała, a już nie chcę nawet wspominać o synu, z którym widziałem się bardzo krótko, bo zaraz prawie po mem przybyciu poszedł do miasta, zapewne na to śniadanko, które im pan tak niezgrabnie przerwał, panie inżynierze!...

— A Helena? — przerwał Fred z trwogą — czy pan jej nie poznał? Czy szczęśliwa? Czy wspominał pan o mojej prośbie? Kiedyż ja ją zobaczę?...

— Tyle pytań naraz! Łaskawy inżynierze, chwi-

leczkę cierpliwości, a odpowiem na wszystko po kolei! Tak! Pannę Helenę Springer widziałem i przyznać muszę otwarcie, że przedstawiono mi ją jako narzeczoną pana Cezara Springera, lecz... nie wygląda ona wcale na szczęśliwą narzeczoną i niezbyt swojsko musi być jej w tem familijnem kółku, chociaż wszyscy zachowują się wobec niej z uprzedzającą grzecznością!

— A moje zlecenie? Moją prośbę, abym mógł z nią pomówić, czy pan załatwił, panie komisarzu?

— Cierpliwości, kochany panie! I do tego jeszcze przyjdziemy! Umiem brać się do rzeczy i istotnie na małą chwilkę mogłem pomówić z nią sam na sam i szepnąłem jej szybko:

— „Miałbym pani powiedzieć coś o nieboszczyku ojc. Czy nie mógłbym się w tym celu zobaczyć z panią?“

A ona spojrzała mi bystro w oczy i rzekła krótko:

— „Jeśli pan chcesz coś dobrego powiedzieć o mym ojc, to proszę, mów pan otwarcie, przy wszystkich ludziach!“

Znalazłem się w głupim położeniu, bo przecież nie mogłem dawać jej bliższych wyjaśnień tam, w tej lisiej jamie, gdzie każdej chwili mógł nas ktoś podsłuchać. Mogłaby się była przeleknąć, krzyknąć, lub samo jej wzruszenie wzbudziłoby podejrzenie, a właśnie tylko ściśle me incognito i zaufanie, jakie potrafiłem sobie zdobyć wśród całej rodziny, pozwoli mi wyłowić lisy w ich jamie. Więc też ograniczyłem się do tego, że odpowiedziałem:

— „Zdaje się, że to będzie dla pani pożądana wiadomość, ale dotyczy ona panią osobiście i tylko pani mogę ją powiedzieć, a jest tak ważną, że kwadrans czasu może mi pani poświęcić. Tę wiadomość przysłała pani pewien przyjaciel z Ameryki, a ja — ja mieszkam w hotelu „pod złotym lwem“!...

— Świetnie! I jakąż odpowiedź otrzymał pan na to!?

— Żadnej nie otrzymałem, mój drogi! Jeszcze raz tylko spojrzała mi w oczy, ale tak badawczo, jakby na wskroś chciała mnie przejrzeć i wymknęła się z pokoju. A tymczasem wziął mnie znów w obroty pan Franciszek Springer, który, jak mi się zdaje, z gustem pozbyłby się tego domu...

(Ciąg dalszy nastąpi).